

PRZYSZŁOŚĆ UNIwersYTETU

Debata z udziałem Włodzimierza Boleckiego, Tadeusza Gadacza, Małgorzaty Kowalskiej, Jacka Migasińskiego i Piotra Nowaka

Piotr Nowak: Na podstawie długoletnich obserwacji – najpierw jako student, potem jako wykładowca – umiałbym nakreślić dwa profile pracowników akademickich. Na profil pierwszy składaliby się wybitni fachowcy, eksperci, niekiedy renomowani uczeni, którzy swoje wykłady dukaają z kartki i tylko marzą, by jak najszybciej „odwalić” zajęcia ze studentami. Uczeni o drugim profilu – przeciwnie – mają zwykle świetny kontakt ze studentami, są dla nich przykładem, jak może wyglądać żywa myśl. Niestety, najczęściej nie osiągają w nauce tak spektakularnych sukcesów jak ich koledzy z profilu pierwszego. Czy nie sądzą Państwo, że dogmatyczne egzekwowanie punktów za publikacje naukowe sprawi, że urodzeni dydaktycy, ludzie przekazujący wiedzę z autentyczną pasją, za chwilę nie będą mieli czego szukać na uniwersytecie? A wtedy powieje jeszcze większą nudą...

Jacek Migasiński: Ale przecież jest taka możliwość w aktualnym prawie i taka ścieżka jest przez niektórych obierana, tylko że może mało popularna. Myślę tu o etatach starszych wykładowców i docentów – to są właśnie etaty dydaktyczne.

P.N.: Czy nie odchodzi się powoli od tego?

J.M.: Nie, nie. Ktoś, kto nie robi, że tak powiem, szybkiej kariery naukowej, na przykład nie robi habilitacji – bo doktorat to już teraz każdy musi mieć na starcie – zamiast być doktorem habilitowanym, zostaje starszym wykładowcą. Taka osoba może potem zostać awansowana na stanowisko docenta. Na Uniwersytecie Warszawskim są takie stanowiska docentów. Akurat w naszym instytucie nie ma nikogo z docentów, ale są wykładowcy i starsi wykładowcy. Ta ścieżka nie jest zamknięta.

Małgorzata Kowalska: Gwoli ścisłości, o ile ja się orientuję, bo mamy parę takich przypadków w naszym instytucie, to jednak jest silna presja – nie ustawowa, jak rozumiem, ale, powiedzmy, administracyjna, powodowana względami głównie finansowymi – ze strony rektorów i, ogólnie, administracyjnych władz uczelni, żeby te stanowiska likwidować. Bo starszy wykładowca musi mieć znacznie większe – w praktyce prawie dwukrotnie większe – pensum. Co prawda mniejsze uposażenie, ale zajmuje godziny tym, których można by zatrudnić na jego miejsce. Etat dydaktyczny nie jest punktowany odpowiednio w tym ministerialnym przeliczniku, od którego zależy finansowanie uczelni. Krótko mówiąc, zgodnie z obowiązującą dziś logiką, to się uczelni nie opłaca.

J.M.: Patrząc na działania władz Uniwersytetu Warszawskiego, nie widzę takiego dążenia do ograniczania tego rodzaju drogi zawodowej. Raczej właśnie akcentuje się, że taka

możliwość kariery czysto dydaktycznej istnieje. Z drugiej strony jednak to nie opłaca się wydziałom. Jako dziekan też nie bardzo promuję takich pracowników, którzy nie robią wyższych stopni naukowych, bo oni właśnie mają mniejszą „wagę” w algorytmie stosowanym przy rozdziale budżetów na poszczególne wydziały.

P.N.: Zatem o ich istnieniu, jeśli dobrze rozumiem twoje słowa, przesądza decyzja dziekana...

J.M.: W zasadzie tak, bo to dziekan rekomenduje zatrudnianie pracowników na odpowiednich stanowiskach.

Tadeusz Gadacz: W tej chwili jeszcze nie wiemy, jaka będzie ostatecznie ustawa i jej kształt, gdyż wciąż są nanoszone w niej poprawki. Jak jednak rozumiem, wola ustawodawcy jest taka, żeby wszystkich doktorów, którzy nie osiągnęli naukowej samodzielności (habilitacji) w przepisany prawem czasie, bez względu na to, czy są obdarzeni talentem dydaktycznym, czy nie, potraktować jako – krótko mówiąc – przeterminowanych, których trzeba dlatego zwolnić, że blokują miejsca pracy dla młodych, dla których pracy nie ma. Zatem problem jest następujący: czy nie mamy tutaj do czynienia z pewnym konfliktem pokoleniowym? Postawione przez ciebie pytanie rozumiem w ten sposób, że rzeczywiście jest wielu wybitnych dydaktyków, którzy potrafią znakomicie wyklądać, ale niekoniecznie muszą mieć pasję naukową. Nie zawsze jest tak, że odkrywczosć naukowa czy badania naukowe idą w parze z dydaktyką czy z umiejętnościami dydaktycznymi. Gdyby cokolwiek ode mnie zależało, to ja podzieliłbym pracowników uniwersyteckich na dydaktycznych i dydaktyczno-naukowych – jedni powinni zajmować się tym, do czego czują się powołani i zdolni, a zatem wykładami, a część powinna zajmować się badaniami naukowymi i prowadzić tylko ograniczoną liczbę seminariów czy wykładów monograficznych, w jakimś bardzo niewielkim zakresie. Ale rozumiem, że tendencja ustawy jest inna. Czy w ogóle dopuści ona możliwość przejścia adiunkta na stanowisko starszego wykładowcy? Co do tego mam wątpliwość, czy tak będzie.

P.N.: Jeden z moich studentów wziął na drugim roku urlop dziekański. Gdy zapytałem, w jakim celu, odparł, że urlop planuje wykorzystać na napisanie książki. Przywołana anegdota, pomijając jej humorystyczny aspekt, wskazuje na niepokojący fakt, jak mało czyta się dzisiaj. Natomiast – i to jest ta nowa osobliwość – całkiem sporo osób pisze, co wiąże się z powszechnym kryzysem alfabetyzacji. Także wymóg osiągnięcia habilitacji w stosunkowo krótkim czasie może grozić nie tylko zalewem zbędnych, słabutkich książek, ale ponadto zdezawuuje sam stopień naukowy (jak to się stało w przypadku stopnia doktora, który dziś w zasadzie identyczny jest z dopełnieniem wyższego wykształcenia). To jest jedno zagrożenie. Ale jest jeszcze inne. Wyobraźmy sobie taką sytuację, że, powiedzmy, profesor filozofii publikuje siódme wydanie podręcznika do filozofii, którego nikt nie czyta poza jego studentami, ponieważ on im stawia taki wymóg do egzaminu. Moje pytanie jest takie: czy to nie jest utrwalanie czasem błędnych, czasem zgoła wtórnych idei? Bo wygląda na to, że wydawnictwa uniwersyteckie mogą produkować całą parą naukową makulaturę i nikt ich od tego nie powstrzyma. Stracą na tym wszyscy: studenci – bo za wydane niepotrzebnie pieniądze niczego w zamian nie otrzymają; uczelnia – gdyż na ogół finansuje gnioty swoich profesorów; inne książki – ponieważ zostaną przestonięte, przywalone ciężarem martwych podręczników. Tadeusz Gadacz nazywa to „trzecim obiegiem nauki”. Co to takiego?

T.G.: Problem, o którym mówisz, polega jeszcze na czymś innym; na tym mianowicie, że wszystkie dziedziny nauki zostaną – jak wynika z aktualnego rozporządzenia ministerstwa – potraktowane tak samo, to znaczy publikacja nie będzie się liczyła dlatego, że jest w jakiejś dziedzinie dobra lub zła, tylko będzie się liczyła dlatego, że jest opublikowana w czasopiśmie, dajmy na to, z listy filadelfijskiej i w dodatku w języku angielskim. Taka publikacja przynosi więcej punktów zarówno samemu autorowi, jak i jednostce, w której jest on zatrudniony. Nie będzie się liczyła jakoś tej publikacji, czy ona wnosi jakąś nową ideę, myśl, czy jest głosem w jakiejś toczącej się ważnej debacie publicznej, tylko będzie się liczyło to, ile się za nią punktów zbierze. To jest dość wyraźne niebezpieczeństwo, realnie związane zresztą z całym Procesem Bolońskim, z tendencją nowelizacji ustawy o nauce i szkolnictwie wyższym. Model naukowości nauk empirycznych rozumianych jako nauki stosowane zupełnie nie pasuje do klasycznie rozumianej humanistyki, do badań filozofów, filologów, historyków, antropologów kultury, ale także części psychologów i socjologów. Wiedzano o tym już w drugiej połowie XIX wieku

M.K.: No tak, ale nie można co roku podawać w ramach dorobku ciągle tej samej książki, bo mimo wszystko tego się chyba nawet według najdurniejszych kryteriów ministerialnych nie da zrobić, to znaczy nie da się punktować kilkakrotnie tej samej książki. Mnie bardziej martwi coś innego, nie tyle inflacja w sensie ilościowym, ile trywializacja oceny jakościowej, do której doprowadzi fundowana nam reforma. Wchodzi tu w grę nie tylko polska, ale polska w szczególności – a ściślej: typowa dla polskich urzędników i reformatorów-modernizatorów – niewiara w to, że środowisko samo jest w stanie ocenić wartość czyjegoś dorobku, oryginalność idei, rzetelność wiedzy itd. Dla modernizatorów w gruncie rzeczy jedyną miarodajną instytucją, która oceniałaby jakość pracy intelektualnej i naukowej, są jakieś ustalone gremia, czy to w ministerialnych komisjach, czy to w redakcjach określonych pism. Istnieje – zgodnie z tą logiką – zamknięta grupa ludzi, którzy uchodzą za autorytety w danej dziedzinie, a rolę wszystkich pozostałych jest zabiegać o uznanie tych autorytetów, recenzentów grantów albo wysokopunktowanych pism, w szczególności anglojęzycznych. I to ma być jedyne kryterium pozwalające na ocenę jakości dorobku. Jakości, która przyjmuje jednak postać ilościową, bo mierzy się tymi nieszczęsnymi punktami przyznawanymi za uzyskanie grantu albo za publikację w określonym piśmie. Tymczasem pozyskanie grantu to nie tylko biurokratyczna mitręga, ale także umiejętność wpasowania się w oczekiwania recenzentów – co rodzi obawę, że w tej liberalno-biurokratycznej konkurencji zwyciężać będą pomysły standardowe, nieoryginalne, za to pod jakimś względem „trendy”. Natomiast tzw. dobre pisma bywają bardzo różne, często mało dostępne, czytane w niezwykle wąskich kręgach, artykuły tam publikowane mogą być przyczynkarskie, ale związane z problematyką dla tego pisma aktualnie ważną itd. Krótko mówiąc, zastąpienie oceny jakościowej, rozumianej jako ocena czyjejś pracy przez środowisko w wyniku dyskusji, recenzji, nawiązań do tej pracy, oceną *de facto* ilościową – chociaż nie o ilość publikacji, ale o ilość punktów tu chodzi – wydaje mi się dla kondycji humanistyki czymś absolutnie katastrofalnym.

T.G.: Oceną parametryczną.

M.K.: Tak, parametryczną. Mimo że tam niby o jakość chodzi. Ale kosztem myślenia, a przede wszystkim debaty w środowisku. Bo tu już nie ma o czym dyskutować, czy książka jest ciekawa, ważna, czy nie – liczy się tylko to, ile punktów się za nią dostało. A czy ona

kogoś skłania do myślenia, czy wywołuje jakieś reakcje, to jest bez znaczenia, bo niemierzalne. Reforma płynie zaś z kuitu tego, co mierzalne. Wybitna książka i całkowity gniot – liczone jako monografie – przyniosą dokładnie tyle samo punktów. A najciekawszy artykuł opublikowany w jakimś zbiorze (np. w jakiejś księdze jubileuszowej albo w książce pokonferencyjnej) będzie wart dziesięć razy mniej niż mierny artykuł przyjęty do wysokopunktowanego pisma. Moim zdaniem to horrendalny absurd. Absurd tym bardziej szkodliwy, że rujnujący – gdyby tymi zasadami wszyscy na serio się przejęli – to, co dla mnie jest istotą nie tylko humanistyki, ale w ogóle uniwersytetu: ducha dyskusji, pewnej bezinteresowności, a także współpracy – wszystko to ma zastąpić rywalizacja o punkty. Ministerstwo oczekuje, że naukowcy, w tym humaniści, będą coraz lepiej wytresowanymi zawodnikami w uniwersalnym wyścigu szczurów. I że z tego wyścigu wyłoni się to, co zwie się nauką na światowym poziomie... Którą, ma się rozumieć, uprawia się tylko po angielsku. Bo to, że ktoś może publikować w Niemczech po niemiecku, we Francji po francusku czy w Rosji po rosyjsku, nie jest dla naszych reformatorów żadnym osiągnięciem. Logika reformy jest taka, żeby nie uczyć się żadnych języków obcych poza angielskim i ze wszystkimi, także z rodzimą publicznością, komunikować się w języku „globalnym”. Że to nie będzie żaden angielski, tylko prymitywny „globish”, że wyrażona w ten sposób myśl będzie okaleczona – kogo to obchodzi? Grunt, żeby kaleka myśli pojawiła się w „globalnym obiegu”!

T.G.: W twoim pytaniu, Piotrze, kryje się fundamentalny problem. Gdy zastanawiam się nad moją pracą naukową, staję przed dylematem: czy publikować artykuł, książkę, dlatego że po wielu przemyśleniach uznałem, iż udało mi się coś przemyśleć ważnego, czym chciałbym się podzielić, poddać dyskusji, czy publikować, bo muszę coś publikować, ponieważ muszę zdobyć odpowiednią ilość punktów, która jest konieczna do tego, żeby mój wydział miał odpowiednią ilość punktów i otrzymał odpowiednią ilość środków na to, żeby móc dalej utrzymywać swoje badania. I obawiam się, że niestety wymuszanie tego rodzaju oceny parametrycznej stwarza pewną możliwość czegoś, co bym nazwał „szarą strefą nauki” czy jej „trzecim obiegiem”. Wręcz grozi to pewnego rodzaju patologią produkcji naukowych.

P.N.: Na czym więc ten „trzeci obieg nauki” polega?

T.G.: Krótko mówiąc, na tym, że są specjaliści w różnych ośrodkach, którzy zaczynają dzień od przeglądania kalendarza, by znaleźć setną rocznicę urodzin jakiego filozofa, sto pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci, jeszcze jakąś inną rocznicę publikacji ważnego dzieła, po czym organizuje się w kraju kilka, a nawet kilkanaście konferencji naukowych poświęconych np. Immanuelowi Kantowi, jakbyśmy mieli co najmniej stu genialnych specjalistów od Kanta – i wydaje książki: jedna ku Kantowi, druga przez Kanta, trzecia wokół Kanta i tak dalej, a każda z nich mniej wartościowa. Ale dlaczego się je publikuje? Ponieważ są za te publikacje punkty, można pozyskać na nie odpowiednie środki finansowe, ponieważ instytuty i wydziały mogą się z nich rozliczyć, potrzebne im są one do oceny parametrycznej i tak dalej. I tu, skoro przywołałem nazwisko Kanta, wystarczy przypomnieć znany aspekt jego biografii. Kiedy zasiadł na katedrze uniwersytetu w Królewcu, przez dziesięć lat nie opublikował nic istotnego, po czym wydał *Krytykę czystego rozumu*. Prawdopodobnie gdyby Kant był oceniany parametrycznie, to straciłby pracę. Sądzę, że stajemy przed takim oto problemem, o którym powinniśmy podyskutować: czy uniwersytet jest jeszcze przestrzenią wolnego myślenia? Jeżeli jesteśmy, że tak powiem, sparametryzowani z różnych stron,

a nauka stała się częścią produkcji światowej z jej efektywnością, z której się rozliczamy, to jednocześnie w coraz większym stopniu jesteśmy też osaczani przez biurokrację. Mam czasami takie wrażenie, że coraz bardziej zawęża się przestrzeń i czas między permanentną sprawozdawczością a permanentnym planowaniem, i wówczas kiedy się te dwie linie zjedną, to przestaniemy na wyższych uczelniach w ogóle myśleć. Dlaczego wspominałem także o zagrożeniu patologią? Ponieważ już zaczynają do nas docierać zaproszenia z rozmaitych pseudouczelni, często ze „ściany wschodniej”, a także rozmaitych prywatnych wydawnictw, które wydają publikacje anglojęzyczne, zachęcających, by za odpowiednią opłatą publikować teksty, które się potem liczą, bo przecież tego nikt nie ocenia pod względem jakościowym. Wyraźnie widać, jak rynek już dostosowuje się do nowych wymagań.

J.M.: Dążenie do skomercjalizowania całej nauki, czego parametryzacja, o której tu mówimy, jest tylko zewnętrznym przejawem, wynika z przyjęcia całego Procesu Bolońskiego, który zaczął obowiązywać w 1999 roku. Dobrze byłoby, żebyśmy sobie uświadomili, że Proces Boloński i jego wytyczne zostały skonstruowane w oparciu o układ ogólny w sprawie handlu usługami, podpisany w 1995 roku w ramach porozumień Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Już samo zatem dostrzeżenie źródła Procesu Bolońskiego ułatwi nam rozpoznanie, ku czemu to wszystko zmierza. Każda uczelnia, każdy wydział czy też inna jednostka na uczelni wyższej, także każdy jeden instytut badawczy, mają się stać firmami zarabiającymi pieniądze, bo inaczej nie przetrwają na rynku. Tkwiąca u źródła idea komercjalizacji nauki odbija się nam teraz czkawką w postaci niektórych zapisów nowelizacji ustawy. Pisał o tym niedawno na łamach „Gazety Wyborczej” Karol Modzelewski.

P.N.: Pamiętam, kiedy byłem z wykładami na uniwersytecie w Helsinkach, to tam studenci zastanawiali się, dyskutowali – a właściwie wcale się nie zastanawiali, tylko jawnie podważali sensowność decyzji władz uniwersyteckich, które zechciały mianować na stanowisko rektora absolwenta MBA. W uzasadnieniu tej horrenalnej (jak mnie się wtedy wydawało) decyzji otwarcie powoływano się na kierunek zmian, jakie zachodzą w świecie; no więc zdecydowano się przekształcić uniwersytet w podmiot gospodarczy właśnie po to, aby on dobrze działał w warunkach gospodarki rynkowej. Ciekawe, że pierwszą rzeczą, którą chciał zrobić ten nowo mianowany rektor po MBA – w końcu nie wiem, czy został mianowany, czy nie – było opatentowanie wyników badań naukowych. Czy nie mamy w tym miejscu do czynienia z wynaturzeniem idei uniwersytetu, z podważeniem jego autonomii? Czy instytucja patentu nie zagraża swobodnemu obiegowi myśli?

J.M.: Ale też ostatnio na Uniwersytecie Warszawskim przegłosowaliśmy uchwałę w sprawie ochrony własności intelektualnej, dotyczącą między innymi właśnie osiągnięć naukowych traktowanych jako patenty, których własność handlowa należy, zdaje się, w pięćdziesięciu procentach do twórcy, a w pięćdziesięciu procentach do uniwersytetu. To ku temu zmierza.

M.K.: W sumie to właśnie jest najważniejszy problem. Technokratyzacja jest drugą stroną komercjalizacji. Towar, nawet gdy ma postać niematerialną, z definicji jest wymierny. A o jego wartości decyduje rynek. Na ogólnym poziomie prawdą jest, że wszelką wiedzę traktuje się dziś jak towar. Już pod koniec lat 70. Lyotard, pisząc o kondycji współczesnej wiedzy, pisał, że „nauka stała się momentem w krążeniu kapitału”. Od tej pory ten proces nieustannie się nasila. W języku ministerstwa słowa „komercjalizacja nauki” albo „komercjalizacja badań”

– ku zdumieniu takich dinozaurów jak ja – mają konotację absolutnie pozytywną. Bez żadnej żenady, bez cienia wątpliwości komercjalizacja jest przedstawiana jako niezwykła, bezprecedensowa szansa na rozwój badań i podniesienie ich jakości. No więc na ogólnym poziomie tak jest. Ale w odniesieniu do humanistyki trochę bym to jednak wysubtelniła. Sądzę, że nikt trzeźwy nie oczekuje opłacalności wprost rynkowej od badań historycznych, filologicznych, już nie mówiąc o filozoficznych. Grzech leży głębiej – nie chodzi o to, że mamy bezpośrednio współpracować z biznesem i przyczyniać się do wzrostu gospodarczego, co musi wydawać się niepodobieństwem nawet z perspektywy najbardziej prorynkowych reformatorów (przynajmniej mam taką nadzieję), ale o to, że kryteria, które się stosuje do oceny myśli humanistycznej, są *per saldo* takie same jak te, które się stosuje przy produkcji technicznej i ostatecznie po prostu przemysłowej, przeznaczonej na rynek. Również bodźce, zachęty i kary, które zamierza się stosować wobec humanistów, są takie same jak bodźce stosowane wobec pracownika korporacji: produkuj to, co przyniesie wymierny zysk, np. w postaci zajęcia przez twoją uczelnię lepszego miejsca w ogólnopolskich i międzynarodowych rankingach, to dostaniesz więcej pieniędzy; a jak będziesz sobie coś myślał i pisał bez wymiernego pożytku, to fora ze dwora, pięknoduchów nam nie trzeba. Cała ta nasza reforma prowadzona jest właśnie w duchu takiego bezdusznego, instrumentalnego i rynkowego racjonalizmu – i w tym sensie jest znamienym wykwitem nowej fali kapitalizmu, ekspansji kapitalizmu. W świetle założeń tej reformy produkcja i sposób funkcjonowania myśli humanistycznej *de facto* przestaje się czymkolwiek różnić od produkcji i sprzedaży przysłowiowego proszku do prania.

J.M.: Ta tendencja potwierdza się na przykład w proponowanych zapisach nowelizowanej ustawy. Wedle nich w tak zwanych „konwentach”, czyli w odpowiednikach senatów uczelni lub rad naukowych na szczeblu krajowym, mają brać odpowiedni procentowy udział biznesmeni, ludzie szeroko pojętego interesu. Jakkolwiek dla pewnego rodzaju nauk może to być rzeczywiście wielka szansa, zwłaszcza w pozyskiwaniu funduszy spoza budżetu państwa – tak działa nauka w Stanach – to zasiadanie w gremiach decyzyjnych ludzi interesu (czyjego? bo przecież nie naszego) może okazać się dla humanistyki groźne. Biznesmeni, którzy będą zasiadali w tych konwentach i w tych radach, oczywiście będą chętniej wspierali te dziedziny nauki, które rzeczywiście mogą wejść w bliskie związki z biznesem, przemysłem i tak dalej – i będą im służyć pomocą – natomiast tradycyjna humanistyka pozostanie oczywiście poza polem ich zainteresowań. Co biznesmena może obchodzić na przykład filologia klasyczna? Po co biznesmenowi znawca języka koptyjskiego?

M.K.: Mnie się wydaje, że w tym też się czai niebezpieczeństwo, bo jak już się uzna – w pewnym sensie zdroworoządkowo – że humanistyka wprost takim zasadom biznesowym podlegać nie może – chociaż, jak mówiłam, podlega nie wprost, bo te same kryteria się wobec niej stosuje – ale jak się nawet uzna, że wprost nie jest dziedziną rynkową, to zatem potencjalnie – co najmniej potencjalnie, mówię bardzo ostrożnie – staje się sferą zapotrzebowań władzy państwowej. Swego czasu mówiono – i sądzą, że nadal będzie się mówić – o tzw. tematach zleconych: jakieś gremia przyrządowe będą decydować o tym, na jakie badania, także z zakresu humanistyki, jest zapotrzebowanie, czym zatem humaniści powinni zajmować się priorytetowo, i na to będą pieniądze. Na przykład na problemy związane z pamięcią i tożsamością narodową. Albo – to dzisiaj nie mniej na topie, może bardziej – jaki rodzaj kapitału kulturowego służy zwiększonej wydajności pracy? Jakie pojmowanie religii i jaka filozofia

będą w stanie uczynić nas państwem bardziej konkurencyjnym? I co zrobić, żeby ludziom taką religię albo taką filozofię wpoić? To jest również bardzo groźne. Albo komercjalizacja, albo ideologizacja i polityzacja. Humanistyka znajdzie się – już się znalazła – między młotem a kowadłem: będzie musiała albo być paratechnologią i współpracować z rynkiem, albo być zależna od aktualnych ekip rządzących i od ich ideologicznych priorytetów. Będziemy pisać projekty grantów mające służyć krzewieniu konserwatyizmu albo liberalizmu.

P.N.: Albo socjalizmu (*śmiech*).

M.K.: To dziś zupełnie nieprawdopodobne. Ale skoro o socjalizmie mowa. Ośmielię się powiedzieć, że w porównaniu z tym, co nas czeka po całkowitym wdrożeniu rządowej reformy, autonomia uniwersytetu w czasach PRL, poza okresem stalinizmu i końcówką lat 60., była znacznie większa. A już na pewno była większa w okresie moich własnych studiów, w schyłkowej PRL, czyli w smutnej skądinąd pierwszej połowie lat 80. Nie sądzę, aby kwestią retrospektywnego złudzenia było moje przekonanie, że zarówno wykładowcy, jak studenci cieszyli się wtedy dużą wolnością, przynajmniej w definiowaniu swoich zainteresowań oraz wybieraniu sposobów ich ekspresji. O tym, ile kto jest wart, decydowało uznanie środowiska, którego nie przeliczało się na punkty ani na pieniądze. To był jeszcze czas, kiedy wiedza i myślenie dla wielu stanowiły wartość autoteliczną.

P.N.: Dziś jeśli profesor – ale ten z głośnym nazwiskiem – napisze książkę, jej promocja odbywa się zwykle poza murami uniwersyteckimi. Raz zrobiliśmy promocję naszego pisma na uniwersytecie – nikt ze studentów nie przyszedł. Kolejną promocję zorganizowaliśmy w modnym miejscu, w podobnym składzie osobowym – przyszły dziesiątki osób. Czy nie sądzą Państwo, że myślenie – inaczej niż w czasach Fichtego, gdy uniwersytet stanowił swego rodzaju „samowiedzę” całego społeczeństwa – coraz częściej przenosi się poza – przyciężkie – struktury uniwersyteckie?

J.M.: To z kolei może być wynik – jest to jedna z hipotez – gwałtownego wzrostu liczby studentów i bardzo powolnego wzrostu liczby nauczycieli akademickich. Ja tu sobie gdzieś wynotowałem, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat – od 1990 do 2010 roku – liczba studentów wzrosła pięciokrotnie. Mamy teraz prawie dwa miliony studentów, a liczba naukowo-dydaktycznych pracowników wzrosła niewiele ponad 33%. Czyli studiowanie stało się „ruchem masowym”, który prowadzi do tego, o czym mówisz – do zaniku rodzenia się autentycznej myśli, do mechanicznego przekazywania podręcznikowej wiedzy coraz większej liczbie słuchaczy, z którymi nie ma się bezpośredniego kontaktu. Jak jakiś wydział uniwersytecki zamawia jedne, łączone zajęcia z filozofii na wszystkich swoich kierunkach – bo na przykład działa tam kilka instytutów o różnych kierunkach studiów – i przeznaczają na te zajęcia trzydzieści godzin, a wykładowca musi po wygłoszeniu trwającego przez semestr wykładu przeegzaminować około trzystu osób – to czy można to nazwać żywym obiegiem myśli między wykładowcą a studentami? To jest kpina przecież! Ale takie są realia. To wynika między innymi – to hipoteza – z gwałtownego przyrostu liczby studentów przy nikłym wzroście liczby pracowników i malejącej bazie lokalowej.

P.N.: Czyli to nie jest tak, że studenci nagle przestali mieć jakieś takie, powiedzmy, bardziej pogłębione zainteresowania, tylko że...

J.M.: ...jest trudniejszy dostęp studenta do pracownika (i odwrotnie). Nie ma kontaktów personalnych, praktycznie żadnych.

P.N.: Skoro nie ma miejsca na myślenie, na żywe seminarium na uniwersytecie, to może żeby zacząć myśleć, trzeba wyjść z uniwersytetu?

T.G.: Ja podzielę się własnym doświadczeniem. Pracowałem przez dłuższy czas tylko z doktorantami w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN i po dziesięciu latach powróciłem do kształcenia na pierwszym i drugim stopniu studiów uniwersyteckich. Wydaje mi się, że po tych dziesięciu latach dostrzegam dość znaczącą zmianę, która polega na tym, że kiedyś, niekoniecznie wtedy, gdy ja studiowałem, może nieco później, na uniwersytetach liczył się jeszcze klasyczny ideał, o którym pisał m.in. Hans-Georg Gadamer, ideał wykształcenia. Przychodziliśmy na studia po to, by zdobyć wykształcenie, to znaczy by zdobyć nie tylko praktyczną wiedzę i umiejętności konieczne do swobodnego radzenia sobie na rynku pracy, lecz by przemyśleć wiele kwestii, zaspokoić ciekawość, poszerzyć własne horyzonty egzystencjalne, dojrzeć intelektualnie i emocjonalnie, doświadczyć uczestnictwa w kulturze. Jeżeli wybieraliśmy drugi kierunek studiów, to po to, by to wykształcenie poszerzyć, kierując się własnymi zainteresowaniami. Ten czas wyjęty na studia był czasem poświęconym na seminaria, na lekturę w bibliotekach, na dyskusje. Ten ideał, w moim przekonaniu, oczywiście nie uogólniając, gdyż na szczęście są jeszcze pewne niewielkie grupy studentów, dla których jest on wartością – legł w gruzach, wyparował, a wszechogarniający pragmatyzm przejawia się w ten sposób, że uniwersytety stały się dla większości miejscem budowy CV pod kątem rynku pracy. Wybór drugiego fakultetu jest w gruncie rzeczy powodowany nie zainteresowaniami, tylko pragmatycznym nastawieniem na możliwości późniejszego funkcjonowania na rynku pracy. Stąd też uczelnie stały się pasażami, w których studenci pojawiają się i znikają, ponieważ udają się na drugi fakultet, do pracy, działają jako wolontariusze, zdobywają jakieś doświadczenie – wszystko fluktuuje, ponieważ o wszystkim rozstrzyga wszechogarniający pragmatyzm. On rozstrzyga także o tym, wracając do poprzedniej kwestii, że pracownicy naukowcy muszą wciąż się tłumaczyć, do czego są przydatni. Być może oświeceniowy ideał praktycznego znaczenia wiedzy – nawet o religii wówczas mówiono, że ona ma sens społeczny tylko wtedy, kiedy podnosi poziom życzliwości albo moralności społecznej – dopiero teraz na dobre się zadamowił. Pozostając w matrycy wszechogarniającego pragmatyzmu, wylgnęłyby się ten, kto w arkuszu aplikacyjnym o grant naukowy z humanistyki usunąłby pytanie o stosowność badań na rzecz, na przykład, takich pytań: „Jak chcesz w czasie badań kształtować swoją duszę?” albo: „W jaki rodzaj zachwyty zamierzasz wpaść?”, czy też: „Jakie wykształcenie chcesz osiągnąć?” – przecież to są odwieczne ideały humanistyki. Nie twierdzą oczywiście, że humanistyka nie ma innych celów jak krytyczny czy emancypacyjny. Kiedy jednak pozostajemy w kręgu doświadczenia piękna czy innych istotnych wartości humanistycznych ważnych dla człowieka, nie pytamy, czemu to służy. Takiej myśli i takiego doświadczenia nie da się zbiurokratyzować. Dlatego w świetle obecnych tendencji przekształcania uniwersytetów i kierunku, w którym te przekształcenia zmiernają, wydaje mi się, że na dzisiejszych uniwersytetach jest coraz mniej miejsca na wolne myślenie. Skoro musimy kierować się pragmatyzmem ekonomicznym, konkurencyjnością – notabene jak mają konkurować ze sobą znawcy średniowiecza opracowujący stare rękopisy? – to musimy planować. A zatem musimy wiedzieć dokładnie, o czym

będziemy myśleć za dwa lub trzy lata. Ja nie wiem, o czym będę myślał, bo będę myślał o tym, co mi przyjdzie na myśl. I kwestia ostatnia, która mnie osobiście najbardziej przeszkadza, mianowicie permanentna biurokracja. Wydawało się kiedyś, że informatyzacja uprości proces badań i kształcenia, natomiast w moim przekonaniu multiplikuje ona w coraz większym stopniu kolejne piętra biurokracji. Ostatnio kiedy grupa studentów poprosiła mnie o to, żeby spotkać się i dyskutować o *Fenomenologii ducha* Hegla, pomyślałem, że lepiej będzie spotkać się w kawiarni, tylko dlatego by nie być zmuszonym pisać sprawozdań do komórki do spraw jakości kształcenia, komórki bolońskiej, komórki rozwoju uniwersytetu i tak dalej. Lepiej spotkać się w wolnej przestrzeni myśli, a tą przestrzenią nie jest już przestrzeń uniwersytecka.

P.N.: Uniwersytet przekształcił się w swego rodzaju szkołę zawodową...

T.G.: W przedsiębiorstwo. To Gadamer dawno o tym pisał, to on określił już uniwersytety jako *Betrieb*. Stały się one częścią światowej przedsiębiorczości z jej efektywnością.

M.K.: Chciałabym powiedzieć coś ogólniejszego. Można wybrzydzać na tę reformę – ja sama jestem jej zdeklarowaną przeciwniczką – ale trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że jest ona tylko przejawem ogólniejszej zmiany cywilizacyjnej. Na płaszczyźnie bardziej politycznej – zmiany paradygmatu ustrojowego. Uniwersytet w ramach gospodarki rynkowej, gdzie kapitalizm jest czynnikiem bardziej dynamicznym niż liberalizm, o demokracji nie wspominając, nie może być tym samym, czym w był w XIX wieku, ani tym samym, czym był w PRL. Do tej pory pozostawał relatywnie odporny na tę presję nowej logiki, po czym okazał się jakby nieprzystawalny. A mówiąc ściślej, dostosowywał się do tej nowej logiki w sposób patologiczny, np. wprowadzając płatne studia zaoczne (mimo konstytucyjnej bezpłatności nauczania na wszystkich szczeblach), dzięki którym uczelnie w ogóle mogły utrzymać się przy życiu w czasie, gdy ilość studentów radykalnie się zwiększyła, a dotacje z budżetu bynajmniej, albo tolerując chałturzenie przez wielu naukowców na kilku etatach (bo ze względu na ilość studentów i nowych szkół było takie zapotrzebowanie, więc czemu sobie nie dorobić?). Powiedzmy to sobie jasno: obecny system kształcenia uniwersyteckiego i uprawiania nauki jest w Polsce chory. I z pewnością wymaga reformy – tyle że w moim przekonaniu zupełnie nie takiej, jaką się nam funduje. Mimo wszystko w tym systemie pozostało trochę ludzi szczerze oddanych nauce i – lub – nauczaniu, a zupełnie niedostosowanych do „wymogów rynkowych”. Tak czy owak, uniwersytet pozostawał do niedawna oazą, oczywiście względną, myślenia nieskomercjalizowanego lub niecałkiem skomercjalizowanego. Tymczasem sami studenci – to prawda, niestety – którzy żyją w logice rynku od przedszkola niemal, co najmniej od szkoły podstawowej i średniej, coraz częściej – oczywiście nie bez wyjątków, ale coraz częściej – mają wobec uniwersytetu oczekiwania rynkowe. Uniwersytet – wszelkie wykształcenie wyższe – ma być punktem wyjścia do zdobycia możliwie dobrze płatnej pracy. Studenci oczekują usług, które im się w dodatku jakoś bardzo konkretnie przelożą na sukces życiowy, państwo oczekuje usług, biznes oczekuje usług – w sumie wszyscy zaczynają postrzegać uniwersytet jako zwyczajnego usługodawcę, a nie żaden przybytek wiedzy stanowiącej cel w sobie. A my się dopominamy naiwnie o sferę krytycznego myślenia! Obawiam się, niestety, że jest to oczekiwanie beznadziejne. Nie wystarczy powiedzieć: „róbcie sobie dookoła, co chcecie w tym świecie, tylko dajcie nam autonomię i święty spokój na uniwersytetach – my tu będziemy rozwijać wolną myśl!”

Tego rozpaczliwego apelu nikt nie potraktuje poważnie dopóty, dopóki logika tego świata jest taka, jaka jest.

P.N.: Czyli uważasz, że to już jest koniec uniwersytetu starego typu, uniwersytetu, który jeszcze dla Twardowskiego stanowił przestrzeń wolności...

M.K.: Uniwersytet był w jakimś sensie ostatnim miejscem, które tym zmianom podległo, więc ewentualna nowa zmiana, rewolucja czy kontrrewolucja, nie może się ograniczyć tylko do uniwersytetu. Aby uniwersytet mógł stać się miejscem, w którym bezinteresownie rozwija się wiedzę i krytyczne myślenie, jego tak zwane otoczenie społeczne musi te wartości cenić. Dopóki taka zmiana, takie przewartościowanie nie nastąpi, dopóty uniwersytet będzie tylko jedną z wielu rynkowych korporacji, a wiedza – by raz jeszcze zacytować Lyotarda – tylko momentem w krążeniu kapitału. Taką mam radykalną, choć w gruncie rzeczy banalną, tezę – nazwijmy ją polityczno-historiozoficzną.

T.G.: W większości jesteśmy tu filozofami. Można by zastanowić się nad tym, czy na przykład na współczesnych uniwersytetach możliwe byłyby jeszcze takie seminaria, jakie miały miejsce w Niemczech przed I wojną światową, a nawet w okresie międzywojennym – gdzie ówczesni wybitni myśliciele do południa debatowali nad dziełami filozoficznymi, po południu nad poezją. Tak przecież powstał m.in. Krąg Georgego. Czy możliwe jest jeszcze pojawienie się obszernych sum filozoficznych, jakie wówczas powstawały? Obecnie nie ma żadnych wielkich syntez, prób całościowego namysłu nad bytem, światem. Czy przypadkiem całe to myślenie, które jeszcze Wilhelm Dilthey nazywał *Geisteswissenschaften*, określając za jego pomocą nauki humanistyczne, wypływające z doświadczenia wewnętrznego, nie skończyło się? Czy je wyczerpaliśmy, czy też sami poddaliśmy się redukcji do pragmatyki społeczno-politycznej? W miarę łatwo uzyskać granty na badania problemu tolerancji, odmienności czy mniejszości. O wiele trudniej na analizę np. czystych form w metafizyce. Czy to jeszcze ma jakieś znaczenie? A może nie ma znaczenia, może właśnie powinniśmy sobie to uświadomić i zmienić pola zainteresowań.

P.N.: Czyli gdzie jest błąd? Mnie się zdaje, że błędem było takie bezkrytyczne przyjęcie założeń Procesu Bolońskiego. Proces Boloński zafundował nam – w opinii wielu – mało fortunny, dwustopniowy system nauczania. Teoretycznie miał służyć mobilizacji czynnych zawodowo osób, które z jakichś powodów przerwały naukę na etapie licencjatu. Tymczasem praktyka uczyniła z tej interesującej idei swoistą karykaturę. Bo oto gdy mam kurs filozofii na czwartym roku socjologii (nazywanym wedle nowej mody pierwszym rokiem drugiego stopnia), przekonuję się, że część studentów „imigrantów” z innych wydziałów nie ma zielonego pojęcia o tym, kim był Max Weber czy Karl Mannheim! Czy jeszcze lepszy przykład: można skończyć anglistykę bez znajomości historii Anglii, ponieważ jej znajomość egzekwuje się na pierwszym roku... Niewiele kierunków zdołało się temu oprzeć. Medycyna, bo jednak ciężko sobie wyobrazić chirurga po dwóch latach studiów uzupełniających. Ale wszystko przed nami...

J.M.: Psychologia.

M.K.: Psychologia i prawo. Koniec. Medycyna, psychologia, prawo. A reszta...

J.M.: Prawdopodobnym wytłumaczeniem pozostawienia tych kierunków studiów w zmienionych kształcie, zaniechania dzielenia ich na dwa „stopnie” (przynajmniej na razie), jest to, że nie chciano zbyt eksperymentować, oddając się, że tak powiem, w ręce półprawników, półlekarzy, półpsychologów.

P.N.: Póglówków.

M.K.: Może. Ja nawet próbowałam już kiedyś do tego dojść, ale nie docieklam, czy to ustalenie z Bolonii to wymuszają, czy to już interpretacja naszego ministerstwa sprawiła, że dokładnie na głowie postawiony został tradycyjny model kształcenia uniwersyteckiego, to znaczy relacja między tym, co ogólne, i tym, co szczegółowe. Na filozofii oczywiście nie da się tego przeprowadzić, bo tam wszystko jest ogólne, ale już na kierunkach humanistycznych, gdzie filozofia, logika, metodologia i temu podobne przedmioty są najbardziej ogólne i tradycyjnie zatem były zawsze wykładane na pierwszych latach studiów jako propedeutyka, wszystkie te przedmioty, zgodnie z jasnymi wytycznymi ministerstwa, zostały przeniesione na stopień magisterski. Zatem pierwsze trzy lata są traktowane jako szkoła zawodowa, do której niepotrzebne są żadne ogólnouniwersyteckie androny logiczno-filozoficzno-metodologiczne, a te dwa lata, które rzekomo mają służyć specjalizacji zawodowej, ten poziom magisterski, jednocześnie mają służyć ogólnemu rozwojowi – i oczywiście w żaden sposób nie są w stanie zapewnić ani wykształcenia ogólnego, ani specjalizacji. Więc tu dokładnie widać, co się stało z tradycyjnym modelem kształcenia uniwersyteckiego. Z takim modelem, który się kształtował pod koniec XVIII wieku, ma genezę niemiecką, ale przyjął się w większości krajów europejskich – w Polsce bardzo długo obowiązywał – gdzie zakładano, że na początku, mimo późniejszych różnych specjalizacji, jest coś, co wszystkie dyscypliny łączy, i to są właśnie te ogólne rzeczy – metodologia, logika, filozofia, elementy historii powszechnej. A teraz to jest taki kwiatek do kożucha – na dwóch ostatnich latach jeszcze dostaniesz te przedmioty ogólne. Chyba dlatego, że jeszcze ciągle jest ta kadra, której się nie ma odwagi wyrzucić, więc niech ona już coś tam wyklada. Ale tu doskonale widać, co zostało z tradycyjnej idei uniwersytetu. Uniwersytet stał się szkołą zawodową, bo w gruncie rzeczy prawdziwe wykształcenie, fachowe – prawdziwe w dzisiejszym sensie tego słowa, to znaczy przygotowujące do rynku pracy – daje licencjat. A reszta to jest takie tam... nie wiadomo co. Luksusowy przeżytek.

P.N.: To jaka byłaby właściwie alternatywa dla tego popsutego uniwersytetu? Ja tutaj nie kryję swojej fascynacji „kolegiami sztuk wyzwolonych”. Uczyłem krótko w European College of Liberal Arts w Berlinie, gdzie odtwarza się tradycyjny, „konserwatywny” model uniwersytetu. Na pierwszym roku czyta się tam głównie Platona, może troszkę jeszcze poezji greckiej, jakiegoś Arystofanesa, może jeszcze tragiczków; jeśli chcą dowiedzieć się czegoś o świecie, studiują Herodota, mają zajęcia z historii sztuki, uczą się języków, zwłaszcza tych starożytnych, nikomu niepotrzebnych. Pamiętam, że było to dla mnie jakimś autentycznym przeżyciem – dlaczego oni tak mogą, a nasi studenci nie. Ciekawe, że studenci tych college'ów spędzają ze sobą właściwie cały czas, od rana do wieczora, łącznie z posiłkami. To jest jakaś taka prawdziwa *koinonia*, arystotelesowskie *liceum*. Skądinąd w Stanach Zjednoczonych również da się zauważyć podobną tendencję, skłonność do odbierania palmy pierwszeństwa uniwersytetom. U nas, zdaje się, profesor Jerzy Axer z Collegium „Artes Liberales” próbuje iść tą drogą, ale, znów, jego wysiłki i instytucje, jakie tworzy, są – z tego, co słyszę – bardzo silnie powiązane z uniwersytetem. Kolo się zamyka.

J.M.: „Artes Liberales” są jednostką uniwersytecką.

P.N.: A więc właśnie. Zatem stąd moje pytanie: czy istnieje w Polsce instytucjonalna alternatywa dla uniwersytetu? Oczywiście poza wspomnianymi przez Tadeusza Gadacza kawiarniami, w których gotów byłby czytać *Fenomenologię ducha*.

J.M.: W wymiarze, że tak powiem, ogólnopaństwowym czy ogólnokrajowym jestem pesymistą – tu zgadzam się z Małgosią. Wydaje mi się, że dla instytucji uniwersytetu zbliżają się czasy fatalne – przede wszystkim w sensie strukturalnym. Moim zdaniem nie ma ucieczki, nie ma wyjścia, jesteśmy w pułapce.

M.K.: W sensie ekonomiczno-finansowym one już nastąpiły, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

J.M.: Być może stworzenie jakichś kolegiów, o których mówisz, to byłoby coś, jakieś wysepki, na których uprawiano by prawdziwą humanistykę, czy też nauczanie w zakresie humanistyki. Ale strukturalnie rzecz biorąc, wydaje mi się, że znaleźliśmy się na pozycjach przegranych.

M.K.: Ja chciałam się wprost odnieść do tej propozycji. Mnie się taki elitarny typ kształcenia, niemal towarzystw sekretnych, jak te kolegia przez Piotra wspomniane, nie podoba. Jestem demokratką i uważam, że jak najlepsze wykształcenie ogólne powinno być powszechnie dostępne. Nie chciałabym, aby alternatywą dla rozpadającego się uniwersytetu były jakieś elitarne kluby, gdzie się tylko czyta Herodota i Platona. Oczywiście, proszę bardzo, jak ktoś chce czytać Herodota i Platona, niech to robi, ale nie sądzę, aby należało w tym celu tworzyć instytucje i traktować je jako jakąś rzeczywistą alternatywę dla dominującego stylu kształcenia. Co można zrobić przy moim pesymizmie? Niewiele. Stawiać opór tam, gdzie się jest. Czyli w miejscu jakoś, póki co, centralnym, czyli na uniwersytecie. Nie poddawać się bezwolnie tym wszystkim trendom, nie adaptować się tylko do stawianych nam, czasami bezmyślnych, a co najmniej bardzo kontrowersyjnych oczekiwań i wymogów, tylko je mniej lub bardziej modyfikować, krytykować, w miarę możliwości zabierać głos publicznie. Cóż tu innego można zrobić? Na razie tylko tyle, po to tutaj właśnie ześmy się zebrali, żeby taką funkcję spełnić.

T.G.: Myślę, że to nasze narzekanie wynika w dużej mierze z tego, że jesteśmy reprezentantami pewnego typu nauk. Gdyby tutaj siedzieli i rozmawiali ze sobą fizycy, biolodzy, chemicy, to oni by tych problemów nie mieli. Im jest o wiele łatwiej wpasować się w struktury zespołów badawczych, grantów, pewnej uniwersalizacji języka badawczego, także efektywności tych badań. Prowadzone przez nich badania są bowiem częścią systemu gospodarczej, technologicznej i ekonomicznej efektywności. A kłopot z humanistyką polega na tym, że właściwie my mamy dwie możliwości: albo podlegać Ministerstwu Nauki, albo Ministerstwu Kultury. Notabene można postawić pytanie, jaką rolę odgrywa Ministerstwo Kultury w obecnej reformie nauki i szkolnictwa wyższego. Większość dziedzin humanistycznych nie podlega modelowi nauk reprezentowanych przez współczesny model naukowości. I choć zajmują się np. filmem, teatrem czy w ogóle kulturą, nie podlegają pod dziedziny twórcze, które pozostają w gestii Ministerstwa Kultury. To znajdowanie się „pomiędzy” nam doskwiera.

Chciałbym odwołać się do ostatniej oceny parametrycznej nauk humanistycznych i społecznych, opartej na rozporządzeniu ministerstwa. Pokazuje ona, że – pomimo próby wykształcenia metodologicznej odrębności przez nauki humanistyczne od drugiej połowy XIX wieku – cały czas jedynym modelem naukowości, który obowiązuje, jest model naukowości nauk przyrodniczych. Zatem jeżeli w naukach przyrodniczych badania weryfikuje się w laboratoriach, to niepotrzebne są im recenzje czy krytyka naukowa. Dlatego krytyka naukowa jest kompletnie niedoceniona. Jeżeli językiem uniwersalnym jest angielski, to, oczywiście, języki narodowe, które należą już do kultury, są kompletnie lekceważone. I tak dalej, można by takich przykładów dawać bardzo wiele. Ostatnio byłem świadkiem poważnego rozdrażnienia mojej koleżanki uniwersyteckiej, która po kilku latach ciężkiej pracy wydała pierwszy w Polsce przekład z języka greckiego traktatu Aleksandra z Afrodyzji wraz z aparatem krytycznym. I za tę żmudną, wieloletnią pracę ta wybitna specjalistka od myśli i kultury greckiej otrzymała trzy punkty za słowo wstępne do tej rozprawy. Przekłady bowiem w paującym modelu naukowości nie są uznawane za pracę naukową. Pozwoliłem sobie ostatnio na żart w postaci listu do kolegów prezentującego wzorcowy model uczonego humanisty na podstawie ministerialnego rozporządzenia. Stwierdziłem w nim między innymi, że jeśli piszą oni monografię, to najlepiej w języku angielskim (24 punkty). Nie powinni jednak pisać monografii obszernych, przekrojowych, stanowiących efekt wielu lat pracy. Poza bowiem satysfakcją i uznaniem środowiska nie ma to żadnego znaczenia dla punktowej oceny monografii. Więcej niż za monografię w języku angielskim można uzyskać za jeden artykuł w czasopiśmie z Listy Filadelfijskiej (JCR) – 30 punktów. Ekwiwalentem monografii w języku angielskim są trzy artykuły w języku polskim opublikowane w czasopiśmie o najwyższej punktacji. Nie powinni publikować w języku francuskim czy niemieckim, nawet w tak prestiżowych wydawnictwach jak Gallimard czy Suhrkamp, gdyż otrzymają tyle samo punktów co za monografię w języku polskim (12 punktów). A właściwie to najlepiej zrobić, gdy takiej monografii w języku polskim nie napiszą, gdyż w czasie koniecznym do jej napisania z pewnością opublikują kilka artykułów w czasopiśmie polskim za 9 punktów, co da im w sumie 27 punktów za trzy artykuły lub 36 punktów za cztery artykuły. Absolutnie nie powinni publikować artykułów w pracach zbiorowych w języku polskim. Uzyskane tu bowiem 3 punkty to ewidentna strata z perspektywy ekonomii dorobku naukowego. Nie powinni tracić czasu na bycie redaktorem naczelnym czasopisma naukowego, gdyż za okres kilku lat podlegających ocenie otrzymają tyle samo punktów co czasopismo. W czasie przeznaczonym na redakcję z pewnością opublikują kilka własnych artykułów, co zwiokrotni ich punktację. Nie powinni pisać recenzji krytycznych ani dokonywać przekładu dzieł klasycznych z języków oryginalnych na język polski. Jeśli nawet przekłady zaopatrzone są w aparat krytyczny, nie przynoszą ich autorom żadnych punktów. Tracą czas także wówczas, gdy głoszą wykłady zarówno na ogólnopolskich, jak i na zagranicznych konferencjach naukowych, gdyż te nie są punktowane. Tym bardziej tracą czas, gdy sami są organizatorami konferencji naukowej. Nie powinni także pisać recenzji rozpraw doktorskich, habilitacyjnych, przewodów profesorskich, grantów ministerialnych czy innych ekspertyz (o zgrozo! także recenzji wydawniczych). Poza bowiem własnym zarobkiem i satysfakcją, że są uznanymi w dziedzinie ekspertami i autorytetami, ich prace nie dostarczają z tego tytułu żadnych punktów. A zatem pisząc te wszystkie recenzje, tracą niepotrzebnie czas, który mogliby przeznaczyć na pisanie rozpraw w języku angielskim. Co zatem powinni? Powinni uczestniczyć w projekcie Programu Ramowego (granty europejskie). Takie uczestnictwo daje 150 punktów, co jest równoważne publikacji sześciu monografii w języku angielskim lub dwunastu w języku

polskim. Jeszcze lepiej, gdy koordynują projekt lub są jego kierownikami (400 punktów), co jest równoważne publikacji siedemnastu monografii w języku angielskim lub trzydziestu czterech monografii w języku polskim. Najlepiej jednak, gdy Instytut zatrudni u siebie laureata konkursu „Pomysły” Europejskiej Rady Nauki. Uzyskane z tego tytułu 700 punktów dostarczy wymaganej ilości punktów całemu Instytutowi. Na koniec chciałbym powrócić do pytania o znaczenie humanistyki. Być może staje się zbędna. O ile sobie przypominam, Christian Wolff był pierwszym uniwersyteckim profesorem filozofii, a wcześniej trzeba było albo mieć protektorów, albo szlifować szkło optyczne jak Spinoza czy być guvernerem na dworach jak Jan Jakub Rousseau. Czy zatem jesteśmy świadkami końca klasycznego uniwersytetu? Czy współczesnym społeczeństwom potrzebne są jeszcze uniwersytety jako miejsca wolnego i twórczego myślenia? I czy istnieje społeczne przyzwolenie na ich godne utrzymanie? Czy też – przeciwnie – humaniści powinni zacząć rozglądać się za zajęciem, które da im utrzymanie?

M.K.: Zgadzam się z Tadeuszem. Tak to dziś wygląda. Ale chciałbym dodać jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, trzeba przyznać, że znaczna część uczonych i nauczycieli akademickich „kupiła” logikę, która przyświeca tej naszej reformie, przynajmniej w jednym punkcie: oto chcemy, aby badacze i nauczyciele byli „godziwie” opłacani. I aby ich płaca była proporcjonalna do ich pracy. Też bym chciała, bo kto by nie chciał, zarabiać więcej. Ale warto zdać sobie sprawę z niezmiernie prostej zależności między pracą a płacą w systemie rynkowym: więcej zarabia ten, kto przynosi wymierny zysk. A zatem jedno z dwojga: albo godzimy się na tę logikę i w sumie akceptujemy technokratyczno-rynkowe założenia reformy, albo tę logikę odrzucamy, licząc się z mniejszymi płacami. Oczekiwać, że w systemie nastawionym na rynkowy „przyrost mocy” państwo – a i samo społeczeństwo – zechce szczerze wynagradzać tych, którzy temu „przyrostowi mocy” nie służą, to więcej niż naiwość. To kwadratura koła. Po drugie, trzeba oddać tej nieszczęsnej reformie, że jej celem jest eliminacja niektórych oczywistych patologii, takich jak wieloletowość nauczycieli akademickich, a także istniejące tu i ówdzie (choć mnie osobiście nieznanne) układy czysto koleśowskie: panoszenie się leniwych i tępowych profesorów, którzy od lat niczego w sensie naukowym nie robią, zatrudnianie swoich krewnych i znajomych królika, utrudnianie kariery młodszym pracownikom itp. Problem w tym, że reformatorzy te patologie uznali za normę polskiego uniwersytetu, do jednego garnka wrzucając jakiegoś prof. Pipcińskiego, którego wszyscy mają dość, i, powiedzmy, profesora Karola Modzelewskiego, który jako jeden z nielicznych miał śmiałość publicznie ducha tej reformy krytykować. Szkopuł w tym, że reforma bardziej zaszkodzi osobom nietuzinkowym niż miernotom. Karierowicze i ludzie bez kręgosłupa zawsze sobie poradzą. Obawiam się, że bierność, z jaką środowisko uniwersyteckie, w szczególności humanistyczne, przyjęło zasady tej reformy, świadczy o tym, że miernot i karierowiczów jest w nim, niestety, dużo. A zatem jako środowisko mamy to, na co sobie zasłużyliśmy.

J.M.: Warto może jednak zauważyć, że spora część obaw, które tu wyrażamy, bierze się, być może, ze sposobu przygotowania nowelizacji ustawy. Otóż rządowy projekt reformy nauki, o którym tu mówimy i którego negatywne efekty dla humanistyki podkreślamy (a wiele konkretnych projektów nowej ustawy – jak na przykład nowa procedura habilitacyjna czy nowe zasady awansu naukowego – należałoby jeszcze przeanalizować), odwołuje się do *Diagnozy stanu szkolnictwa wyższego i Strategii rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do 2020 roku*,

opracowań przygotowanych przez konsorcjum Ernst and Young Business Advisory i Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową. Opracowania te wzbudziły niepokój i krytykę środowiska naukowego, głównie socjologów. W krytyce tej wypunktowuje się „grzechy” popełnione przy ich przygotowywaniu. Wynieśmy je pokrótce: przyjęcie złej metodologii badań przy pracy nad tymi dokumentami; tendencyjne przedstawienie obecnego stanu nauki polskiej; wadliwe rozpoznanie rynku polskich przedsiębiorstw, z którymi miałyby się wiązać nauka; podjęcie próby likwidacji wieloletowości w nauce bez uwzględnienia realnej analizy wynagrodzeń pracowników naukowych, w szczególności w porównaniu z innymi sektorami społeczno-gospodarczymi; bezkrytyczne przyjęcie „rankingu szanghajskiego”, ustalającego „wartość” poszczególnych uczelni w skali całego świata, którego kryteria nie pasują do zasad funkcjonowania uczelni polskich i tym samym prowadzą do wypaczenia rzeczywistego obrazu sytuacji nauki polskiej. Jak widać, nie są to zarzuty białe, jest ich zresztą dużo więcej. Mimo to dokumenty, o których tutaj mówię, legły u podstaw wytycznych reformy. Poza tym sposób – błyskawiczny – przeprowadzenia tak zwanych konsultacji społecznych przy opracowywaniu reformy też pozostawia sporo do życzenia. Cóż, dziejowy – czy raczej polityczny – walec znowu przetoczył się po nas, humanistach, zanim jasno zdaliśmy sobie z tego sprawę.

Włodzimierz Bolecki: Przepraszam, że dopiero teraz włączam się do tej rozmowy, ale nie chciałem rozpraszać się na drobne uwagi polemiczne lub uzupełnianie państwa wypowiedzi – zwłaszcza w kwestiach dotyczących reformy szkolnictwa wyższego i nauki jako całości. Wynotowałem sobie jednak parę uwag, którymi chciałbym się z państwem podzielić.

Najpierw uwaga metodologiczna. Z perspektywy funkcjonowania jednego wydziału nie sposób oceniać uniwersytetu jako całości. Możemy mówić o naszej dziedzinie, dyscyplinach naukowych, które uprawiamy, ale w obrębie naszego praktycznego doświadczenia nie mieści się wiedza o całości funkcjonowania uniwersytetu. Zatem przesłanki do dyskusji o uniwersytecie jako całości, a nawet o całości humanistyki, są zbyt wąskie, żeby formułować tezy tak ogólne i kategoryczne jak te, które były przez państwa formułowane. Ja na te sprawy patrzę z innej perspektywy.

Do roku 2008 nie było żadnej koncepcji, żadnego programu reformy uniwersytetu i nauki. Zmieniono niemal wszystko – ustrój polityczny, sojusze, instytucje, rozmaite sektory życia publicznego i tak dalej, natomiast uczelnie, PAN i tak zwane JBR-y¹, zaliczane do sektora nauki – cały ten obszar pozostał nietknięty myślą o konieczności radykalnej zmiany istniejącego, a właściwie odziedziczonego po PRL-u, modelu jego funkcjonowania. Z jednym chwalebny wyjątkiem, jakim było powstanie KBN, który w czasach rządu SLD został zresztą zlikwidowany.

Wbrew państwa opiniom, które są zbliżone do formułowanych w prasie przez nasze środowisko, uważam, że reforma nauki, którą wprowadza pani minister Barbara Kudrycka, jest dla uniwersytetów w Polsce po pierwsze – absolutną koniecznością, po drugie – wielką szansą, a nie zagrożeniem. I po trzecie, wbrew temu, co się na temat tej reformy mówi, nie robią jej jacyś anonimowi urzędnicy. Ta reforma jest odpowiedzią na postulaty zgłaszane przez część środowiska naukowego. Proszę więc pamiętać, że to, co państwo krytykujecie, to, o czym dziś rozmawiamy, to jest wynik długoletnich sporów, uzgodnień, a przede wszystkim – rozbieżności w polskim środowisku naukowym. Kiedy więc oceniamy ten wynik,

¹ Jednostki Badawczo-Rozwojowe – przyp. red.

czyli kompromis, moim zdaniem zbyt głęboki, warto pamiętać, że oceniamy nie urzędników ministerstwa – oceniamy samych siebie jako środowisko naukowe.

Problemy, o których państwo mówiliście, pogrupowałem w następujące pytania: (1) Kto powinien pracować na uniwersytecie? (2) Jaka powinna być jakość uniwersyteckich publikacji? (3) Jakimi kryteriami mamy się posługiwać, oceniając jakość działalności naukowej (czyli kwestia tzw. oceny parametrycznej)? (4) Po co nam ta „okropna komercjalizacja”? (5) Po co Proces Boloński? (6) Po co w zarządzających uniwersytetami czy instytucjami naukowymi radach mają zasiadać biznesmeni? (7) Na czym polega rola Narodowego Programu dla Humanistyki w ożywianiu humanistyki polskiej? (8) Na czym polega problem „ucieczki myślenia z uniwersytetu”, o której mówił Piotr Nowak, i jaki to ma związek z umasowieniem szkolnictwa wyższego? Wreszcie (9) sprawa cywilizacyjnej zmiany, w której funkcjonuje dzisiejszy uniwersytet, temat, który poruszyła prof. Kowalska. I na koniec (10) kwestia finansowania szkół wyższych i nauki.

Cieszę się, że poruszyliście państwo akurat te kwestie, bo choć inaczej je widzę, także ja uważam, że są one kluczowe dla zreformowania szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce.

Co zatem jest podstawowym problemem polskich uczelni? Jest nim brak konkurencyjności. Polskie szkolnictwo wyższe i nauka na każdym etapie swojego istnienia są nadal niekonkurencyjne – zarówno zewnętrznie, jak i wewnętrznie. Jeśli chodzi o konkurencyjność wewnętrzną, to problem polega na tym, że w ocenie dorobku naukowego pracowników zamiast kryterium jakościowego stosuje się kryterium ilościowe, ustalające przeciętność jako normę. W Polsce nie tworzymy warunków do podnoszenia jakości kształcenia czy finansowania najlepszych instytucji, lecz wzmacniamy system, w którym obowiązuje zasada dzielenia biedy i równego finansowania ośrodków badawczych, niezależnie od ich osiągnięć.

Polska jest krajem, w którym samych szkół wyższych jest chyba więcej niż w Stanach Zjednoczonych, bo ponad czterysta. Wśród tych uczelni są takie, do których nie posłalibyśmy naszych dzieci, i takie, które moglibyśmy z czystym sumieniem zarekomendować każdemu. Otóż problem polega na tym, że wszystkie te uczelnie są finansowane według tej samej zasady. Pytanie zatem brzmi: co zrobić, żeby w polskich uniwersytetach zaczęła obowiązywać zasada konkurencyjności, to znaczy żeby dotacje budżetowe dla uczelni były uzależnione od jakości prowadzonej w nich edukacji i badań naukowych? Uniwersytet nie kształci studentów dla samego siebie. Uniwersytet nie jest samotną wyspą na oceanie, lecz częścią, a często podmiotem procesów cywilizacyjnych i społecznych. Uniwersytet otrzymuje pieniądze z budżetu, bo sam tych pieniędzy nie wytwarza. Na co je otrzymuje? Na kształcenie elity społeczeństwa; na edukację i badania naukowe. Konieczna jest więc ocena relacji między wykonaniem tych misyjnych zadań uniwersytetu a jego finansowaniem z publicznych pieniędzy. Ale żeby cokolwiek ocenić, trzeba to porównywać. Zwłaszcza w skali międzynarodowej. Bez porównania nie ma żadnego wyniku, żadnej oceny. Jak państwo wiecie, dwa najlepsze polskie uniwersytety – według tzw. „rankingu szanghajskiego” – znajdują się w czwartej i piątej setce uczelni z całego świata.

Na sprawę jakości edukacji uniwersyteckiej możemy spojrzeć też od innej strony. A mianowicie – czy chcą tu studiować najlepsi studenci, a pisać doktoraty – najlepsi doktoranci? Odpowiedź jest znana – takiego zjawiska nikt dotąd nie zaobserwował. Nie mówię o dziedzinach empirycznych, bo w nich nauka jest w pełni międzynarodowa albo jej nie ma w ogóle. Ale czy na polskich uczelniach chcą dziś pracować najwybitniejsi filozofowie, historycy, filolodzy, socjologzy, politolodzy? Nie chcą, wiemy o tym. Nie znaczy to, że w Polsce nie

ma wybitnych socjologów, historyków, filologów, filozofów etc., ale to znaczy, że warunki systemowe w polskim świecie uniwersyteckim zniechęcają ich, czyli że system organizacji nauki działa u nas odpychająco.

Następną sprawą związaną z oceną działalności uniwersytetu jest rynek pracy. Uniwersytet kształci nie tylko przyszłych naukowców, ale przede wszystkim przyszłą elitę społeczną – ludzi wykształconych. Pytanie brzmi: czy absolwenci konkretnych uniwersytetów znajdują pracę, a jeśli tak, to czy uniwersytet dobrze ich do tej pracy przygotowuje? Słowem, jaki jest dziś związek między sposobem kształcenia studentów a możliwością zdobycia przez nich pracy? Uniwersytet nie jest odpowiedzialny za organizację rynku pracy; ale jest jego częścią, a w skali kraju jest najważniejszą instytucją, która decyduje o poziomie elity zawodowej. Dzisiaj studenci – jak mówiła przed chwilą profesor Kowalska – kiedy wybierają szkołę wyższą, chcą przede wszystkim otrzymać dyplom uniwersytecki, który pomoże im znaleźć właściwe miejsce pracy dzięki uzyskanym na uniwersytecie kompetencjom. Twierdzą, że na wielu uczelniach jakość kształcenia jest dramatycznie niska, że niekiedy mamy do czynienia z atropami edukacji, z rodzajem kiczu edukacyjnego. Co więcej, programy nauczania na wielu wydziałach uniwersyteckich są anachroniczne, to znaczy nie przygotowują absolwentów do przyszłych ról zawodowych, jakich podjęcia wymaga od nich rynek pracy. Jeśli tak jest, to oczywiście relacja uniwersytet – rynek pracy powinna ulec zmianie.

Kolejna sprawa to dostęp do wykształcenia. W Polsce łamana jest konstytucja, która gwarantuje wszystkim powszechny dostęp i bezpłatną edukację, ponieważ – z tego, co czytałem – ponad 70% studentów płaci w Polsce za naukę. Taki system jest chory, patologiczny, niemoralny, a przede wszystkim obłudny, bo karmi młodych ludzi iluzją, o której wszyscy wiedzą, że jest pozostałością po czasach komunistycznej utopii. Nie ma bowiem – jak mawiają teoretycy liberalizmu – darmowych obiadów. A tym bardziej studiów wyższych. Krótko mówiąc, zmiana tego modelu, w którym obecnie tkwimy, jest absolutną koniecznością. Prawem dygresji powiem, że istota rzeczy sprowadza się nie do tego, czy studia mają być płatne, czy bezpłatne (moim zdaniem muszą być dla wszystkich płatne), ale do tego, by każdy, kto zostanie przyjęty na studia, otrzymał stypendium lub kredyt pozwalający mu bez problemów te studia opłacić. Nie rozwijam tej kwestii, bo jest obecnie nieaktualna.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego ta gruntowna reforma szkolnictwa wyższego jest konieczna – w ciągu ostatnich lat kilkadziesiąt tysięcy najlepiej wykształconych ludzi, wykształconych nie gdzie indziej, tylko na polskich uniwersytetach, wyjechało za granicę. Oni nie chcą pracować na uniwersytecie w Polsce, ponieważ mechanizmy, które istnieją w świecie uniwersyteckim, są dla nich nie do zaakceptowania.

To była diagnoza – a teraz kilka uwag o wprowadzanej właśnie reformie. Warto pamiętać, że projekty reform Ministerstwa Nauki były znacznie bardziej radykalne niż ostateczne zapisy przyjętych przez Sejm ustaw, a to dlatego, że środowisko naukowe nie wyraziło na ten radykalizm zgody. Powiem brutalnie – większość środowiska naukowego, zresztą jak każdego środowiska korporacyjnego, nie jest zainteresowana zmianami. Uniwersytet czy środowisko naukowe jako całość tworzą jedną wielką korporację broniącą swojego stanu posiadania. To normalne – każdy socjolog i psycholog potrafi ten uniwersalny mechanizm wyjaśnić.

Jednym z najważniejszych czynników decydujących o – jak to sformułował Piotr Nowak – „ucieczce myślenia z uniwersytetu”, czy o słabym dopływie świeżej krwi do uniwersyteckiego organizmu, jest zablokowanie awansu młodych ludzi na ich drodze kariery naukowej. Ten system, na własny użytek, nazywam „odwróconym trójkątem”. Wejście do systemu dla młodego asystenta prowadzi przez czubek tego trójkąta. A u góry trójkąta mamy bardzo

dużą grupę kadry uniwersyteckiej czy naukowej, do której sami należymy. Otóż obecny system gwarantuje nam, jeśli tak mogę powiedzieć, bezpieczne stanowiska do końca życia, niezależnie od tego, co kto robi i czy w ogóle pracuje jeszcze naukowo. Tymczasem młodzi, zdolni ludzie – bez których nauka umrze i uniwersytet umrze, jeżeli to nie zostanie zmienione – nie mają szans na otrzymanie pracy. Wiemy, jak to na co dzień wygląda – nie ma miejsc pracy dla młodych doktorów, nie ma pieniędzy dla doktorantów. To jest w ogóle jeden z fenomenów: rozszerzają się studia doktoranckie, przyjmuje się coraz więcej doktorantów, ale jest mało miejsc stypendialnych. Co więcej, poziom stypendiów jest żalony, to są właściwie zasiłki. I do tego dochodzi, oczywiście, powszechna frustracja spowodowana bardzo niskimi pensjami kadry uniwersyteckiej.

Z tego, co powiedziałem do tej pory, widać, że zmiany są konieczne. Punktem wyjścia i celem tych zmian powinno być założenie, że nauka i szkolnictwo wyższe muszą być konkurencyjne. Droga do tego celu musi prowadzić przez różne działania, ale pierwszą rzeczą, którą należy bezwzględnie zmienić, są zasady finansowania badań naukowych.

P.N.: Jacques Chirac miał powiedzieć, że istnieją trzy sposoby marnowania pieniędzy: na giełdzie, na panienki i na badania naukowe. Czy zadawanie kłamu tego rodzaju opiniom nie jest wyrazem korporacyjnej solidarności? Ciekawe, jak pan chce przekonać decydentów politycznych o potrzebie wzrostu nakładów na naukę?

W.B.: Proszę pana, w Polsce mniej więcej 65–70% pieniędzy, z których się finansuje naukę, przeznaczonych jest na tzw. dotację statutową – to są przede wszystkim pieniądze na pensje oraz infrastrukturę i finansowanie badań w poszczególnych ośrodkach czy jednostkach naukowych. Natomiast tylko 13–15% pieniędzy budżetu nauki jest przeznaczanych na badania w formie grantów. Tymczasem w takich krajach jak USA, Wielka Brytania czy w krajach UE ta relacja jest dokładnie odwrotna. A to są kraje, w których pensje pracowników są o wiele wyższe niż u nas, nawet kilkakrotnie. Inaczej mówiąc, na dotację bazową czy statutową, czyli na pensje i infrastrukturę uczelni, przeznaczają się około 15% budżetu, a około 60% idzie do środowiska naukowego drogą grantów na badania. Wszyscy państwo wiecie, że w tych krajach istnieje bezpośredni związek między dorobkiem uczonych a ich uposażeniem, czyli im ktoś ma większy dorobek, tym jego pozycja w nauce jest wyższa, a jego uposażenie wzrasta. O tym powinni decydować dyrektorzy instytucji naukowych, a nie ustawowe zaszeregowania pracowników.

Nie będzie konkurencyjności na polskich uczelniach, jeżeli nie będzie obowiązująca zasada, że o pensjach uczonych decydują nie widelki i rozdzielniki służące do dzielenia biedy po równo, lecz indywidualne osiągnięcia – w tym umiejętność konkurencyjności o granty na podstawie oryginalnie pisanych projektów badawczych. Proszę zwrócić uwagę, że tam, gdzie nauka jest „umiędzynarodowiona”, czyli w dziedzinach nauk o życiu, ścisłych czy technicznych – staranie się o granty jest częścią wykształcenia studentów. To znaczy, że pisanie projektów jest w tym samym stopniu częścią ich wykształcenia, co wiedza, że o pieniądze na badania własne trzeba walczyć. Jeżeli przyszli uczeni nie będą potrafili konkurować ze swoimi rówieśnikami przez stawianie do konkursów grantowych, nie znajdą pracy, nie utrzymają się w niej. Takie konkursy w tej chwili będzie organizował w Polsce Narodowe Centrum Nauki (już je organizuje NCBiR), ale pieniądze na badania można też uzyskać w ramach programów Unii Europejskiej. Problem polega jednak na tym, że liczba wniosków z Europy Środkowej jest wielokrotnie niższa niż z krajów zachodnich. Przy czym jeżeli chodzi o humanistykę, jest to chyba ślad promila.

Teraz sprawa kryteriów oceniania pracy naukowej. Czytałem niedawno wypowiedź jednego z bardzo szanowanych przeze mnie fizyków. Opowiadał, że przygotowując projekt zmian w polskiej nauce, pytał o ewentualne sugestie również humanistów. W odpowiedzi usłyszał narzekania na wysokość pensji i na wyposażenie pokoiów, czyli na warunki, w jakich się pracuje, oraz utyskiwanie z powodu niedoceniaenia pracy humanistów. Czyli żadnej refleksji nad tym, dlaczego jest tak, jak jest. I żadnych pomysłów, co i jak należałoby zmienić. W debacie na temat zmian systemu szkolnictwa wyższego i sektora nauki, która się toczy od paru lat – w pismach wysokonakładowych, ale bardziej w pismach branżowych, akademickich – konstruktywnych głosów humanistów jest jak na przysłowiowe lekarstwo. Dyskutują przedstawiciele nauk empirycznych i oni też mają decydujący głos w tworzeniu ram, w których w Polsce funkcjonuje nauka. Wprowadzona cztery lata temu parametryzacja ocen instytucji naukowych została wymodelowana ze względu na potrzeby nauk empirycznych. Trafna czy nietrafna, parametryzacja ocen była bezwzględnie konieczna, bo normalnej nauce potrzebne jest narzędzie do porównywania osiągnięć różnych instytucji. Natomiast humaniści ją krytykowali za to, że nie uwzględnia specyfiki naszej dziedziny, a w związku z tym jest myląca i – oczywiście – niepotrzebna. To typowe dla naszego środowiska. Można przecież zapytać: a gdzie byli przedstawiciele humanistyki, gdy tworzone reguły tamtej parametryzacji? Przecież wszystkie tego rodzaju akty urzędowe są w Polsce, zgodnie z pragmatyką służbową, opiniowane przez wszystkie ciała przedstawicielskie. Jest długa lista takich ciał w rodzaju Rady Nauki, Zgromadzenia Ogólnego Polskiej Akademii Nauk. Konferencji Rektorów Szkół Wyższych i tak dalej. Te wszystkie akty prawne, które dziś poddawane są bezwzględnej krytyce, były przecież wcześniej opiniowane przez organy, w których zasiadają nasi przedstawiciele. Zostawię to bez komentarza.

Gdy dwa lata temu do oceny parametrycznej próbowano wprowadzić kryterium, że wysoko punktowane będą jedynie publikacje w języku angielskim oraz publikacje w czasopiśmie z pominięciem monografii, część środowiska humanistycznego podjęła dyskusję z tymi założeniami, przedstawiając specyfikę nauk humanistycznych i konieczność wypracowania zróżnicowanych kryteriów oceny. W efekcie kryteria punktacji są bardziej elastyczne – choć daleko jeszcze do wypracowania algorytmu „sprawiedliwego” dla wszystkich dziedzin nauki. Wkrótce potem po raz pierwszy pojawił się program dla humanistyki. Ponieważ jestem jednym z trojga autorów, którzy wymyśliли założenia tego programu (w artykule opublikowanym w maju 2009 roku w „Forum Akademickim”), mogę powiedzieć, że wiem, o czym mówię. Zdefiniowaliśmy obszar takich dziedzin humanistycznych, takich działań i takich zadań z zakresu humanistyki, które nie mieszczą się w koncepcji finansowania w ramach grantów krótkoterminowych. Wskazaliśmy też na odrębność publikacji w naukach humanistycznych, która polega na tym, że w zakresie badań nad kulturą narodową publikowanie w języku angielskim nie może być normą ze względu na sam przedmiot i potencjalnych czytelników. To jest problem, z którym mają do czynienia wszystkie kraje Unii Europejskiej, zwłaszcza te nowe. To problem miejsca języków narodowych, kultury narodowej w ogólnym finansowaniu i ogólnej ocenie dorobku naukowego. Dla dziedzin empirycznych język nie ma znaczenia, bo w nich przedmiot i język to dwie różne sprawy, dlatego każdy powszechnie znany język byłby równie dobry jak angielski. Jednak nasza cywilizacja „umówiła się”, że w tej chwili językiem komunikatywnym jest właśnie język angielski, i nie ma sensu polemizować z tym werdyktem. Natomiast wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z kulturą narodową, gdzie język jest zarazem przedmiotem i narzędziem badania, gdzie niektóre dziedziny mają swoje tradycje językowe (prawo rzymskie, historia sztuki, mediewistyka etc.), zaczęto brać pod

uwagę argumenty przedstawicieli tych nauk, wprowadzając kryteria uwzględniające odrębność dziedzin humanistycznych – choć to dopiero początek drogi.

Ale przede wszystkim nie wolno nam mieszać ze sobą różnych rzeczy: funkcjonowania polskiej humanistyki w obiegu międzynarodowym – tu publikacje po angielsku są bezwzględna koniecznością – oraz publikowania prac poświęconych kulturze narodowej w języku narodowym. Są takie zagadnienia jak choćby gramatyka języka polskiego, Polski Słownik Biograficzny, edycja pism Mikołaja Reja itd., które muszą być publikowane w języku polskim. To samo dotyczy filologii chorwackiej, serbskiej, węgierskiej, słowackiej i innych – we wszystkich nieanglojęzycznych krajach mamy ten sam problem i wszędzie jest on tak samo żywo dyskutowany. Natomiast odrębna rzecz to sprawa dotycząca międzynarodowej „widzialności”, rozpoznawalności naszych prac w obiegu międzynarodowym. Kiedy spotykam się z profesorami z innych krajów, to oni mówią: „my nie o was nie wiemy, nie znamy waszych tekstów”, a ja odpowiadam: „a my nie znamy waszych”. Bariera językowa (nie mówię o tzw. językach kongresowych) ma swoje realne konsekwencje w postaci ograniczonych możliwości dotarcia do ważnych tekstów np. w języku węgierskim, szwedzkim, portugalskim czy greckim. To jest problem wzajemnej komunikacji, informowania badaczy z innych krajów o tym, co robimy choćby w zakresie szeroko pojętych badań nad kulturą narodową. Problemu Wieży Babel nie rozwiążemy (bo badania kultur narodowych będą prowadzone w ich językach), ale informację o prowadzonych badaniach można ujednolicić i przekazywać ją po angielsku lub w językach kongresowych. Wystarczy oddzielić publikacje z zakresu kultury narodowej od rozszerzonej informacji o treści tych publikacji. Oczywiście, najlepiej byłoby, gdyby wszystkie takie publikacje tłumaczono, ale wszędzie tam, gdzie nie jest to możliwe (obojętnie z jakich powodów), należałoby stworzyć dwa działania finansowane przez państwo. Po pierwsze: najważniejsze czasopisma polskie powinny mieć swoje wydania internetowe i zamieszczane w nich artykuły powinny być tłumaczone na język angielski. Po drugie: skoro nie można tłumaczyć wszystkiego, to należałoby zamieszczać w języku angielskim obszerne abstrakty, czyli streszczenia tych artykułów, pomijające kwestie najtrudniejsze – kłopoty z przekładem, z cytatami i tak dalej – ale informujące o głównej idei, tezach czy metodologii artykułu. Wszystkie streszczenia najważniejszych artykułów można by następnie umieszczać na wspólnej platformie internetowej, administrowanej przez MNiSzW, ale w tej chwili nie to jest najbardziej pilne i istotne. I jeszcze dopowiedzenie – na dzisiejszych kierunkach uniwersyteckich, także w humanistyce, coraz częściej wykorzystuje się nowe technologie, na przykład w zakresie pracy z tekstami, obrazami, dźwiękiem etc. Technologie cyfrowe stały się już w humanistyce naturalnym narzędziem pracy.

Przejdźmy do kolejnej sprawy – sprawy publikacji. Jeżeli mówimy w ogóle o nauce jako całości, to trzeba pamiętać, że rzeczywiste porównanie wymaga wyjścia na zewnątrz kraju. Jak ktoś jest dobrym chemikiem, fizykiem, biologiem, psychologiem, archeologiem śródziemnomorskim etc. – zajmuje się, krótko mówiąc, zagadnieniami, które interesują całe międzynarodowe środowisko naukowe – to musi publikować w najlepszych czasopiśmiech w swojej dyscyplinie. Część humanistów próbuje dostosować się do tego wymogu i publikuje w języku angielskim, tyle że w lokalnych czasopiśmiech wydawanych najczęściej przez ich własny uniwersytet. Zatem publikowano wprawdzie w języku angielskim, jednak nadal nie było ważne, co się opublikowało i gdzie, natomiast ważne – ile i że po angielsku. Bardzo szybko to zauważono i w tej chwili do oceny parametrycznej nie zalicza się wszystkich publikacji, lecz trzy najważniejsze publikacje danego pracownika. Problemem pozostaje kategoryzacja prac punktowanych, ale nie będę o tym teraz mówił.

Wbrew państwa obawom twierdzą, że istnieją metody pozwalające uciąć tę radosną twórczość pseudosprawozdań, nazywanych w żargonie akademickim „wykonem”, która funkcjonowała przez kilkadziesiąt lat i w której panoszyło się pytanie o produktywność. Jak słyszę dzisiaj „produktywność naukowa”, to mi się od razu przypomina: „a ile możemy uzyskać ton zboża z hektara?”, czyli: „ile możemy uzyskać artykułów z jednego pracownika lub z jednego instytutu?”. Przecież w nauce nie o to chodzi. Najważniejsza jest jakość tego, co się publikuje. W naukach empirycznych jakość mierzy się dosyć prostymi metodami bibliometrycznymi (weryfikującymi najważniejsze czasopisma, indeksy cytowań, wskaźniki wpływu etc.). W humanistyce nie ma takich twardych wskaźników statystycznych, ale nie ma wątpliwości, że potrafimy odróżnić ziarna od plew, słowem, rozpoznać intersubiektywnie wartość ocenianych prac.

Następna poruszona przez panią profesor kwestia to komercjalizacja nauki. Mam wrażenie, że budzi ona najwięcej nieporozumień, ponieważ jest kojarzona natychmiast z dzikim kapitalistycznym rynkiem, który ubezwłasnowolnia wszystkich, narzuca swoje wilcze prawa i powoduje, że humanista traci duszę, czyli sprzedaje ją diabłu merkantylizmu zwanemu dziś bezwzględny biznesem. Ponieważ w artykule, o którym wspomniałem, postulowałem komercjalizację wyników badań w humanistyce, prowokacyjnie zapytałem pana profesora Gadacza: panie profesorze, a w jakim wydawnictwie wydał pan dwa tomy swojej wspaniałej *Historii filozofii XX wieku*?

T.G.: W Znaku.

W.B.: A jakie to jest właściwie wydawnictwo: uniwersyteckie czy prywatne?

T.G.: Prywatne.

W.B.: Tu, panie profesorze, jesteśmy, jak mawiano na moim studium wojskowym, w meritem sedna. Z komercjalizacją wyników badań naukowych w humanistyce mamy do czynienia na każdym kroku. Tyle tylko że tej oczywistej komercjalizacji nie nazywamy komercjalizacją. A ponieważ jako humaniści interesujemy się wyłącznie przedmiotami naszych zainteresowań intelektualnych, to umknęło naszej uwadze, że efekty naszej działalności funkcjonują najczęściej wyłącznie dzięki tak zwanemu biznesowi i że go od lat wspomagamy wynikami naszych prac. Na czym to polega? A na tym, że budżet państwa finansuje etaty humanistów, natomiast oni, w ramach tych etatów, piszą w swoich instytutach artykuły i książki – często wspaniałe, epokowe – a następnie te wspaniałe publikacje są wydawane nie przez ich instytut czy uniwersytet, lecz przez prywatnych wydawców, którzy nie wyłożyli ani grosza na to, żeby pan profesor Gadacz mógł przez długie lata pracować nad swoją książką. Nic ich nie kosztowały kwerendy pana profesora w różnych bibliotekach europejskich, bo albo za to płacił instytut, albo miał pan profesor grant (były to pieniądze z tego samego budżetu), natomiast finansowe owoce wysiłku pana profesora konsumuje nie pan instytut czy uniwersytet (pan w niewielkim stopniu), ale prywatny biznes. Czyli pracodawca pana profesora nie otrzymuje żadnych efektów finansowych z pana pracy lub tylko niewielkie. Potęga uniwersytetów amerykańskich, które stanowią osiemdziesiąt procent najważniejszych, najlepszych uniwersytetów na świecie, wyrosła między innymi na bezwzględnym respektowaniu własności intelektualnej. Własność intelektualna wyników prac uczonego, który pracuje na uczelni, jest zazwyczaj dzielona na trzy części. Jedna trzecia należy do pracodawcy,

jedna trzecia do pracownika, czyli autora, a jedna trzecia do firmy, która komercjalizuje wyniki badań; w naszym wypadku wydawnictwo to właśnie taka firma. Ta zasada oznacza, że własność intelektualna, jeżeli jej skutkiem jest przysparzanie komuś pieniędzy, jest produktem rynkowym. Jako humaniści, nie lubimy tego określenia, ale co znaczy „produkt rynkowy”? To znaczy, że ktoś go wytworzył, jest jego właścicielem i ktoś ma prawo do zysku z jego sprzedaży. Polskie uczelnie i instytuty naukowe pozbawiły się możliwości czerpania finansowych korzyści z pracy, którą finansują, to znaczy z pracy intelektualnej swoich pracowników. Ale nie wszystkich – tylko humanistów! Tymczasem uczeni pracujący na tych samych uniwersytetach, ale w dziedzinach empirycznych (chemia, biologia, fizyka etc.), patentują swoje wyniki badań. A patent to przecież nic innego jak zagwarantowanie komuś zysków z korzystania z jego praw autorskich, z jego własności intelektualnej. W naukach empirycznych komercjalizacja wyników badań polega m.in. na uzyskiwaniu patentów umożliwiających otrzymywanie przez pracownika dodatkowego wynagrodzenia za efekty jego pracy, a przez pracodawcę – na posiadaniu dodatkowego źródła finansowania (z patentów swoich pracowników). W ten sposób dwie strony – pracodawca i pracownik – osiągają satysfakcję finansową ze swojej pracy. I system temu sprzyja. Natomiast humanista zostawiony sam sobie naraża się na to, że nikt nie będzie chronić jego własności intelektualnej. Nie robią tego uniwersytety, bo nie są tym zainteresowane, a nie są, bo humaniści brzydzą się słowem „komercjalizacja”. W efekcie mamy taką sytuację: każdy uniwersytet w Polsce ma swoje wydawnictwo. Co się w nich publikuje? Przede wszystkim produkcje własnych pracowników. Otóż te publikacje nigdzie w Polsce nie spowodowały powstania przy uniwersytecie wydawnictwa typu Oxford czy Cambridge University Press – to znaczy takiego, które umiałoby zarządzać prawami własności intelektualnej, przysparzać prestiżu i pieniędzy autorom, sobie oraz uniwersytetom. Jednak do wydawnictw uniwersyteckich, umiejscowionych często przy najlepszych polskich uniwersytetach, wybitni autorzy nie nadsyłają swoich prac właśnie dlatego, że te miejsca nie są prestiżowe. A szkoda. Ta sytuacja się nie zmieni, jeśli nie spojrzymy na ten aspekt pracy z perspektywy komercjalizacji wyników badań naukowych. Mówiąc wprost: albo humaniści przestaną brzydzić się rozmową o tym, skąd w nauce biorą się pieniądze, albo niech wreszcie przestaną uważać się, że nie mają pieniędzy, że ich pensje są za niskie. Jeżeli ktoś ma dziesięć patentów, to otrzymuje dodatkowe pieniądze za wdrożenie tych patentów. Jeżeli patent jest dobry, to staje się patentem europejskim, potem światowym – to zresztą jest skomplikowany i drogi proces. To się oczywiście nijak nie ma do zarządzania własnością intelektualną w humanistyce, ale wskazują na praktyki, które warto przemyśleć, zanim zacznie się protestować przeciw urynkowaniu wyników badań naukowych. Albo weźmy taki przykład – prywatne media proszą o komentarze eksperckie pracowników uniwersytetów, bo dla mediów logo instytucji naukowej i tytuł naukowy eksperta są bardzo atrakcyjne. Ale przecież żaden wydział, instytut czy uniwersytet nie dostaje za to ani grosza. A spróbujcie państwo użyć do własnych celów logo jakiegoś browaru czy firmy *haute couture* – skończyłoby się to procesem za wykorzystanie praw autorskich. Nie ma w humanistyce komercjalizacji? A przepraszam, to jak nazwać honoraria za ekspertyzy, na przykład ekspertyzy prawnicze? Rynek sprzyja komercjalizacji wiedzy rozumianej m.in. jako zarządzanie własnością intelektualną, której celem jest generowanie dodatkowych źródeł finansowania dla instytucji i pracowników-autorów. Jeśli nie chcemy przystać na to, to nie marudźmy, nie zgłaszajmy roszczeń, nie żalmy się, nie skarżmy na to, że mamy za mało pieniędzy. Dzisiejsza nauka jest finansowana w ogromnej części – i uniwersytety też – przez źródła zewnętrzne.

Jeżeli uniwersytet ma przyciągać pieniądze z zewnątrz – wiem, że to sformułowanie wzbudzi państwa odruch negatywny – jeżeli uniwersytet ma dbać o to, żeby pracownicy uniwersytetu mogli korzystać z efektów swego dorobku intelektualnego, to przede wszystkim musi być odpowiednio zarządzany. W dzisiejszym świecie związek zarządzania z efektywnością instytucji jest abecadłem. I tego też uczą na uniwersytetach. Mierzenie kryteriami efektywności uniwersytetów czy instytucji naukowych nie jest żadną abrakadabramą czy czymś przerażającym – chodzi jednak o to, żeby to były odpowiednie kryteria. Aby zarządzać uniwersytetami, trzeba mieć specjalistów od zarządzania. Nie da się tego uniknąć. W Polsce niestety jest tak, że większością instytucji naukowych i uniwersytetów zarządzają pracownicy naukowcy oderwani od swoich warsztatów badawczych, którzy wcześniej nie mieli żadnego doświadczenia w zarządzaniu. A zarządzanie dzisiaj to jest coś innego niż zarządzanie w systemie gospodarki centralnie sterowanej w czasach komunistycznych, gdy istniał tylko strumień pieniędzy budżetowych, który wymagał „realizacji”. Dzisiaj zarządzanie wymaga skomplikowanej wiedzy, doświadczenia, znajomości instrumentów i *know how* – tego, jak to się robi gdzie indziej. A tego żaden uczonej przeniesiony „do zarządzania” z laboratorium czy biblioteki (często domowej) nie jest w stanie, bez przygotowania, szybko się nauczyć.

Kolejna sprawa to pytanie, skąd wziął się pomysł dokooptowania biznesmenów do rad naukowych? Cóż, czerpalimy z doświadczenia innych krajów. Jeżeli uniwersytety kształcą pracowników dla różnych gałęzi życia społecznego, od przemysłu po media, to dlaczego uniwersytet nie miałby przyciągać pieniędzy od biznesu, w którym jego absolwenci będą pracować, a zarazem dlaczego ludzie, którzy tworzą te miejsca pracy, nie mieliby doradzać władzom uniwersyteckim, na przykład w zakresie oczekiwanych kompetencji ich przyszłych pracowników? Idea wprowadzenia tak zwanych „praktyków życia społecznego” do rad zarządzających, do różnych konwentów (ale nie do Narodowego Centrum Nauki, bo tam są tylko profesorowie), jest właśnie taka: by ludzie, którzy tworzą rynek pracy dla absolwentów, mogli władzom uniwersyteckim doradzać w zakresie wszystkich spraw zawodowych, wobec których staną absolwenci zaraz po otrzymaniu dyplomu. Tak się to robi w nowoczesnych państwach.

Tak doszliśmy do najbardziej moim zdaniem niewralgicznej sprawy, która może nie jest sprawą tabu, ale jest nieomówiona, a przez to budzi głośno manifestowany opór naszego środowiska, szczególnie humanistycznego. Chodzi o pojęcie autonomii i samorządności uniwersyteckiej. Sięga ono tradycji uniwersytetu humboldtowskiego, ale bardziej odwołuje się do resentymentów politycznych, to znaczy do naszych złych doświadczeń z czasów komunistycznych, do traumatycznego doświadczenia roku 1968 i doświadczenia lat 80. Gdy spojrzymy na dzisiejszą funkcję senatu, to w gruncie rzeczy można by powiedzieć tak: senat – z najgłębszym szacunkiem dla wszystkich senatorów i każdego z osobna – to jest rodzaj samorządu pracowników uniwersyteckich. Samorządu, którego wyznaczniki mają charakter specyficznej godności, kultuowania tradycji, ciągłości instytucji etc. To wszystko znamy. Jednak rektor w swojej działalności jest skrupowany przez senat, bo taka jest natura relacji tych organów władzy uniwersyteckiej. Tymczasem teoria zarządzania, wykładana na tychże uniwersytetach, mówi jasno, że nawet na najniższych szczeblach nie można zarządzać instytucjami za pomocą kolegiąlnego uzgadniania najważniejszych decyzji. W związku z tym pojawiła się idea, żeby zmienić tę formułę – a to nie jest polski pomysł – to znaczy zmienić relacje w strukturze władz uniwersyteckich. Przede wszystkim wzmocnić pozycję rektora, który powinien mieć instrumenty do rządzenia uniwersytetem i moc, na przykład, powoływać dziekanów, tak jak premier powołuje wojewodów, bo dziekani powinni być ludźmi rektora

do zarządzania poszczególnymi wydziałami. Tymczasem – każdy z nas ma to doświadczenie – wybór przez środowisko oznacza skrupowanie przez to środowisko. No bo jeśli ktoś (rektor, dziekan, dyrektor) chce być wybrany przez swoje środowisko na drugą kadencję, to przecież nie będzie zniechęcał do siebie swego przyszłego elektoratu.

Pojawia się tu także kwestia odpowiedzialności – szeroko rozumianej odpowiedzialności uniwersytetu, także rektora. Jeżeli jest to odpowiedzialność przed senatem, to rektor ma nadal skrupowane ręce. Stąd pomysł, zresztą zaczerpnięty z innych, bardziej w tym względzie doświadczonych krajów, by rektora powoływały tak zwane *trusties* lub rady powiernicze, czy specjalnie dobrane grupy ludzi obdarzonych społecznym zaufaniem, którzy patrzą na działanie i interes uniwersytetu z zupełnie innej perspektywy niż senatorowie. Te pomysły na pewno nie wejdą w życie, ponieważ nasze środowisko jest im gruntownie przeciwne. Warto je jednak przemyśleć, bo to nie jest wymysł polskiej biurokracji, lecz pragmatyczne rozwiązania modernizujące współczesny uniwersytet.

Atakowanie Procesu Bolońskiego to ulubiona rozrywka humanistów. Tymczasem proces ten miał służyć zwiększeniu mobilności wśród studentów, polegającej m.in. na tym, że po trzecim roku i uzyskaniu licencjatu studenci mogliby przenieść się na inny uniwersytet, także do innego kraju, i tam ukończyć studia magisterskie. W Polsce mobilność naukowa występuje w ilościach śladowych, dlatego ta wspaniała idea sięgnęła bruku. Ale na zachodzie Europy ten system funkcjonuje bardzo dobrze. Inny jego cel ma charakter społeczny: chodzi o umożliwienie studentom, którzy z różnych powodów nie byli w stanie ukończyć studiów pięcioletnich, otrzymania „małego dyplomu” po trzecim roku studiów, czyli tzw. licencjatu. Licencjat daje absolwentom szansę pracy zawodowej po ukończonych studiach, ale nie daje uprawnień magisterskich. Licencjat ma też bezpośrednie konsekwencje naukowe – w każdym roczniku są wybitni studenci, dla których studiowanie przez pięć lat jest zwykłą stratą czasu. Nie mówię tu o medycynie czy prawie, bo te przedmioty wymagają dużo czasu, ale na pewno istnieją wybitni studenci biologii, chemii, matematyki czy fizyki, którym licencjat daje formalne prawo startowania w konkursie na studia doktoranckie, na przykład za granicą. Taki student musiałby oczywiście konkurować z tymi, którzy mają magisteria – jeśli z nimi wygra, tym szybciej osiągnie samodzielność naukową; jeśli przegra, nie traci nic.

Sprawa ostatnia. Od dawna popieram koncepcję uelastycznienia i urealnienia oceny pracowników naukowych. Przede wszystkim należy rozdzielić działalność badawczą od dydaktycznej i obie oceniać za pomocą innych kryteriów. Są przecież znakomici dydaktycy, którzy niczego oryginalnego nie stworzą, i są znakomici badacze, którzy nie przyciągną na swoje zajęcia ani jednego studenta. Otóż ich trzeba oceniać inaczej. Co więcej, kontrakty czy umowy o pracę należy zawierać w taki sposób, żeby można było procentowo określić, kto, a także – jak wiele ma obowiązków dydaktycznych, a jak wiele naukowych. Na polskich uniwersytetach każdy ma pensum 210 godzin i nie ma możliwości rozluźnienia tego gorsetu niezależnie od osiągnięć i planów badawczych. Tu musi być większa elastyczność, bo po prostu szkoda ludzi.

O finansach już mówiłem – podstawową sprawą powinien być mechanizm, w którym każdy zdobyty grant skutkowałby podwyższeniem pensji pracownika. Dyrektorzy placówek powinni widzieć w tym „interes” swoich instytucji. Dlaczego? Ponieważ każdy „przyniesiony” do instytutu grant oznacza już zwiększenie finansowania danej jednostki przez tak zwane koszty pośrednie, a te powinny być zwiększone co najmniej do 50% wysokości grantów. Humanisci zamiast walczyć przeciwko systemowi grantów – a z najbardziej nobliwych

profesorskich ust słyszałem ich krytykę – powinni walczyć, żeby podwyższyć koszty pośrednie od grantów, bo to jest żywa gotówka, którą za każdy grant ministerstwo przekazuje danej jednostce naukowej. Krótko mówiąc, jeśli w danej jednostce, na danym wydziale są pracownicy, którzy co kilka lat uzyskują finansowanie dla własnych projektów, to z każdego ich grantu instytut, w którym pracują, powinien mieć dodatkowe, duże pieniądze. Dlatego rozliczanie z grantów powinno stać się naturalnym kryterium oceny jakości pracy pracowników. Problem polega na tym, że ten mechanizm musiałby oznaczać zmianę wysokości grantów i ich proporcjonalne zrównanie do wysokości grantów, jakie są na Zachodzie. Ale najważniejsze, żeby wśród humanistów wytworzyć odruch – jeżeli wchodzisz do nauki, to musisz konkurować o pieniądze na swoje badania. I proszę pamiętać – dzisiaj projektów nie oceniają urzędnicy, tylko ocenia je nasze środowisko. Jeżeli ktoś mówi: „Mam gdzieś ten system, bo już pięć razy nie przyznano mi grantu”, to znaczy tylko tyle, że recenzenci – jego koleżanki i koledzy – zdecydowali, że te projekty były słabsze od innych, i nie skierowali ich do finansowania.

Problem polskich uniwersytetów – nie tylko w obszarze nauk humanistycznych – polega na tym, że jesteśmy zamknięci w kłatkach. Czasami są to złote kłatki, czasami cele – wydziały, instytuty, zakłady, pracownie. Siedzimy w nich, nie wiedząc, co się dzieje po drugiej stronie ściany. Kierunków rzeczywiście interdyscyplinarnych jest na polskich uniwersytetach niewiele. A tu nie chodzi tylko o wiedzę – tu chodzi o to, że my się nawzajem nie inspirujemy. Ale to osobny temat.

Rozmowa odbyła się w styczniu 2011 roku w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego.